

# Zimna fala

## Przemysław Pintal

Na licencji [Creative Commons \(CC BY-NC 4.0\)](#), 2014.

Wykorzystano font [Antykwa Półtawskiego](#), na licencji [GUST Font Licence](#).

[https://premislaus.github.io/premislaus1988\[at\]protonmail.com](https://premislaus.github.io/premislaus1988[at]protonmail.com)

## Atropos

Pąk magnolii na wiosnę rozpościera swoje mszyste łuski i wyzwała kwiat barwnie różowy, ciężko pachnący, zmysłowy. Podobne bywają oczy mężczyzny, a raczej wejście, intymny wgląd we wnętrze swych pragnień, kiedy

nie niepokozone niczym – kimkolwiek, ockną się z nocnych rojeń o wspólnym czasie z kobietą. Wpierw, mimowolnie, rozklejają się i skupiają na jakimś elemencie pomieszczenia. Z prędkością ekspansji kosmosu mija senna mara, uchodzi moment radości i nagle ogarnia tęsknota za tym co minęło, a nigdy nie zaistniało. Rozgoryczenie. Uczucia są prawdziwe. Nie ważne czy obserwujemy na bieżąco akt mordu, czy śledzimy go tylko na kartach powieści.

Wzrok człowieka po nieudanym samobójstwie bardziej przypomina pączek dalii. Nocą powstaje się z fotela, zdejmuje pasek ze spodni i zawiązuje go do metalowej ramy, półki z książkami, owija wokół szyi i siada zaciągając pętlę. Coraz ciężiej oddycha się, twarz zaś purpurowieje, naciąga się mocniej, aż słyszy szum w uszach, nie ma strachu, ale jest determinacja, by domknąć światło tętnicy. Oczy puchną od łkania. Istota ludzka całością swych sił witalnych, stara powstrzymać wydanie z siebie, choćby, najmniejszego jęku, który mógłby zaalarmować domowników. Życie, wspólne mieszkanie *na kupie* nie dość, że jest niewygodne to jeszcze nie pozwala człowiekowi szybciej odejść. Zaraz się ktoś pyta dokąd się udajesz i co będziesz robił. Interesuje się. Wścibscy. Jest się świadomym swojego procesu

umierania, więcej się męczy, mocniej trzeba się starać, następuje znużenie sytuacją i to w chwili, gdy niewiele już brakuje. Człowiek nagle przypomina sobie coś, że czegoś jeszcze nie zrobił, iż warto się zemścić. Instynkty zwyciężają, nawet jeśli dodał sobie alkoholem animuszu – oswobadza się, jak Prometeusz zrywa kajdany. Po przebudzeniu chwila radości, że pręgi już nie widać i uniknie się niewygodnych pytań. Tylko szuja boli cały dzień i nieznośność, parę dni utrzymuje się w krtani. Oprócz tego żal, że uległo się własnej ułomności i nie było się w stanie dociągnąć, dokończyć. Jaki w tymże tkwi sens, jakiemu obowiązкови oddaje się ktoś, poprzez mocowanie z samym sobą? Czego stara się dowieść? Samobiczowanie w ramach pokuty, za błędy popełnione w życiu? Bardziej ustalenie *czy już, czy jeszcze?* Trening przed ostatnim i wreszcie skutecznym ustosunkowaniem się do własnego życia, przeszłości, perspektyw, tego kim nie może być i się stać, czego nie sposób osiągnąć.

Dalia rozwija swój kwiat łapiąc promienie słoneczne tak, jak przygaszona postać stercząca w oknie, nad ranem, wpatruje się w czerwonaawe Słońce, budzące dzień. Pożera brzask w akompaniamencie śpiewu ptaków – trelu sikor

i dzwońców, jakby napełniała ciało życiodajną substancją. Sąmą. Zrazu zdaje się, że wzleci ku niebu, ku jutrzence nowego życia i nadziei niewykorzystanych możliwości. Odwraca się tylko i oddaje swojej niemocy, wynikłej z niemożności przełamania fatum, którego konsekwencje nałożyło na siebie samemu.

Śmierć nie nadchodzi prędko. Wiele nocy pochłona kalkulacje, oceny własnych środków, możliwości i tego jakie cele pragnie się przedsięwziąć. Kołek solidnie wkręcony w futrynę – reminiscencja huśtawki dla dziecka, rzemień od spodni i luźnie spętany powróż na rękach, że wystarczy szarpnąć dłońmi, aby zamotać węzeł, na tyle mocny, że bez czyjegoś ratunku, nie sposób było wyzwolić się z okowów siebie. Raptem, napomknięcie kilku dobrych chwil, a supeł już przy lewym uchu. Bardziej kołtun, płatanina, niż fachowa robota, jakby i to miało być podkreśleniem bezwładnej egzystencji. W tym czasie najzwyczajniejsze krzesło na którym się tkwi, jest złudną opoką dalszego istnienia. Podporę tę się odtrąca, zapiera jak heretyk swej wiary na mękach, wbrew biologii i społecznym konwansom. W nagleniu runęło się w dół, z milczącym wołaniem w rozumie, aby tylko ta konstrukcja wytrzymała.

Z mantrą – odejdźże, idźże, że ze mnie, nienawistne, nużące życie.

# Lachesis

Donośna melodia, przychodzącego połączenia w telefonie, leniwie budzi młodego mężczyznę. Dzwoni jego matka, od dawna nie rozmawiali ze sobą. Po wymianie kurtuazji i zdawkowych informacji, jakie wymawia się podczas niechętnych rozmów okolicznościowych z krewnymi, zdradza prawdziwy powód wykonania telefonu do syna. Jego jedyny przyjaciel odebrał sobie życie. *Będę, będę* – echem rozbrzmiewa w głośniku.

Hiobowa wieść, jak na w pół rozszczerzone gromem drzewo! Nie mieli czasu dla siebie. Już spodnie na sobie i szczotka z pastą w gębie. Wspomnienie – jego mgnienie, jak w młodości, pod gwiazdami, na wrzosach pili wina i to wyznanie, dowodem więzi, że kark go boli, skoro kochanka uwiesiła się na nim postronkiem, niejako z miłości. Jeszcze włosy i zarost, zmierzwiłone, ale koszula na sobie. Pamięć przyzywa upiorne wizje spazmów, wywołanych karmieniem się narkotycznymi wrażeniami, uczuciami nienawiści i miłości, rozsadzającymi mózg i promieniującymi niedowładem przygnębienia, aż do kończyn! Na-

miętność imploduje aktami szału, frustracji, emanuje gorącym seksualności, raz za razem dłonie niezdolne do kochania, tylko do pochwycenia czyjejś głowy, aby sprawdzić czy jeszcze ktoś znajduje się w środku, z pytaniem - Ile siły trzeba włożyć, aby nadać jej pęd, co by z impetem rozłupać czerep o posadzkę, aby chwilę później delikatnie gładzić ręce i włosy ukochanej?! Dudni ciężkimi butami po drewnianych schodach obskurnej kamienicy, wypada na podwórze, wybiega na ulicę, gdzie w swej przedpołudniowej rutynie zachodzi krakowski zgiełk: czerwcowe defilady, kłębowisko damskich nóg – w spódniczkach do ud, do kolan i hałaśliwy stukot tramwajów, po nierównych szynach, nadto ludzki szmer i gwar, ciężki galop koni mechanicznych. Z wolna relaksuje go odprężenie, refleksja, że śmierć w końcu dotknie i każdego, a w jego przypadku było to bardziej niż oczekiwane i w końcu się stało. Nieznośne, że tak długo zwlekał i skazywał na niepewność. W zmęczeniu zjawia się na dworcu, w spoceniu wpycha się do busa, płaci, siada w tyle, ruszają i jedzie, światła, korki – potrzeba czterdzieści minut, aby wydostać się dokądś, na prowincję. W środku ścisk – miejsca już pozajmowane, kolejni ludzie wystają, w natrętnej beznadziei zdobycia wolnego miejsca, okna pootwierane, bo duszno, jak wtedy gdy kupi-

li litra na mecie i się potruili, a jezdnię przemierzali na czworaka, w odrętwieniu – otępiało, jakby pogryźli, przeżuli i połknęli LSD, przez co droga dłużyła się niemiłosiernie i w niedowierzaniu czas zwolnił, niby zwiększyła się grawitacja.

Mikrobus oddala się od obwodnicy Krakowa i śpieszy, w monotonnym otoczeniu domów przysadzistych, nieotynkowanych, niekiedy stromych i tych nowych, pstrokatych. Krajobrazowi temu towarzyszy bezruch lasów, chwilami gęstych, na ogół przydrożne zadrzewienia, płynnie przechodzące, w swej tonacji, od jasnych zielni młodych sosen w odcienie niewysokich jesionów, po malachit dojrzałych świerków i potężnie wyrosłych buków. Wycięczenia poddróży dorzuca okoliczność, pobudowania, jak na złość, ludzkich siedlisk przy samej drodze, za którymi, aż po horyzont, ciągną się łąki i pola uprawne, przez co nie sposób poszerzyć jezdni. Bywa to wazkie, gdy traktor wtargnie na szosę i tworzy się kilometrowy sznur aut, bądź starzec jakiś wozem, w konika zaprzęgniętego, próbuje przedostać się, z jednej strony wsi na drugą – z pola w dom. Po bokach zaś zarysowane pagórki, w całości porośnięte, niejednokrotnie z ostańcem na szczycie. Widok ich kreśli zamysł



w świadomości zdrożonego pasażera, że były tu już wtedy, kiedy łowcy neandertalscy malowali swoje ciała ochrą. Wcześniej! Ale i one ulegną kiedyś erozji. Kruchość i bezsens ludzkich poczynań, z łatwością odnieść do tego! Niegdyś człowiek chowany z nabożną czcią – złożony w skuleniu i przysypyany ziemią, zabarwioną bladożółtym ugrem i udekorowaną płatkami kwiatów, a teraz wyciągany i fotografowany w śmiechu.

Dotarłszy na zajezdnię autobusową w kolejnym mieście i będąc prawie u celu, spostrzega na rozkładzie autobusowym, że wznowienie podróży będzie możliwe dopiero za dwie godziny. Siada na betonowej rampie przylegającej do budynku, która mieści się parę metrów za przystankiem. Zapewnia ona pracownikom sklepu dostęp do chłodni i rozdzielnicy elektrycznej. Nikogo nie ma. Pali papierosa, wargą lekko go wzwyż wykrzywia i patrzy na żar, na popiół rosnący, usta rozchyła, jakby szykował się do pocałunku i wypuszcza dym. Zdają się, że z każdym wydechem i cząstka jego duszy wzlata, w konsekwencji poczucia marnowania czasu, wynikłego ze ślęczenia w osamotnieniu. Użera się z samym sobą bowiem przytłacza go ruch samochodów na pobliskiej drodze, stukot obcasów i szura-

nie podeszew po chodnikach, ludzi zmierzających skądś, gdy on tak w mitrędze. Jeśliby dało się tylko zadzwonić do kogoś, kto ucieszyłby się z telefonu, to byłoby mu lżej. Choćby oko na jakiejś dziewczynie mógł zawiesić, bodajby zobaczył przyjazną twarz znajomą, niechby i żuł jakiś wstrętny nadciągnął, z prośbą o parę groszy bądź po papierosa, żeby tylko mieć możliwość tych parę słów z kimś zamienić.

Sposobność do zastanowienia się nad swoim stanem, skłania go ku z wątpieniu w celowość przedsięwzięcia. Życia przecież mu nie zwróci i nie naprawi, więc po cóż tak cierpieć? Wie o ciężącym na nim obowiązku przyjścia na pogrzeb i pożegnania się, przez wzgląd na relacje jakie ich łączyły. Nieważne, że ostatnimi czasy niepieleęnowane. Niepojawienie się byłoby mu źle poczytane. Z opiniami jednak się nie liczy. Wychodzi z założenia, że jak ktoś nie sypia z nim lub nie daje mu pieniędzy, to czyjeś stanowisko względem niego pozostaje bezwartościowe. Wtem niepokój go ogarnia, czy to właśnie on sam nie przyczynił się, nie przyśpieszył biegu wydarzeń? Przez kilka tygodni nawet nie zadzwonił. Zaraz odrzuca ów pomysł, jak stara kobicina co się żegna widząc nieprzystojną rzecz. Przecież

nikt tak dobrze nie znał go jak on! Od cielejących lat dostrze-  
gał w nim tendencje do autodestrukcji, że jest nie z tej epo-  
ki, iż wypala się z wolna latami, zamiast spłonąć gwałto-  
wanie. Konstatuje, że to tylko próba wyparcia tego co na-  
stąpiło. Nie jest nihilistą, choć pozuje na takiego. Na ze-  
wnątrz niewzruszony monolit, ale jego jaźnią niemile koły-  
szą fale złych uczuć. W swojej świadomości rozumuje, że  
musi być inaczej. To sztormy powinny rozbijać się o niego  
tak, jak ocean jest spokojny na pewnej głębokości, a nie  
ulegać wzburzeniu. Z zadumy wyrrywają go smażone aro-  
maty, dochodzące z pobliskiej budy z kebabem. Szkoda mu  
wydawać pieniądze, pomimo tego, że żołądek przykleja się  
do kręgosłupa. Do rodzinnego domu zostało niewiele kilo-  
metrów. Reflektuje się, iż nie ma co pozostawać w bez-  
czynności i udaje się na autostop, w nadziei złapania oka-  
zji, aby wcześniej zawędrować pod znajomy dach, jak on-  
giś mieli to w zwyczaju.

Idzie chodnikiem wzdłuż trasy pełnej samochodów, by  
skręcić na róg ulicy, gdzie Niemcy podczas wojny zamor-  
dowali dwudziestu ludzi. W dzień wystarczy stanąć i wy-  
ciągnąć rękę w bok, by po dwudziestu minutach ktoś się  
zatrzymał. W święto i nocą rzadko kiedy kto jedzie i na

ogół kierowcy nie zahamują. Wtedy lepiej jest iść na piechotę osiem kilometrów, a dystans taki można pokonać w godzinę. Raz i w zamieci śnieżnej, o czwartej nad ranem, zabrał go samochód dostawczy, gdy na rauszu tak chwajnie stał, bo pijany barman ogłosił, że zamyka pub i jedzie do domu. Chadzali tam, by znaleźć sobie dziewczyny które lubiły mocniejsze brzmienia, długie włosy i skórzane kurtki. Nie istnieje już. Szofer był z tej samej miejscowości co osoba prowadząca bar. Wymienili się anegdotami – wesoło było.

Wsiadł w jakąś osobówkę i pomknął w stronę swoich korzeni. Wsiadł ulicę obok dawnego domu, ale obrócił się i obrał kurs na gospodarstwo przyjaciela, aby złożyć kondolencje i pożegnać się ze zmarłym. Z pograżonych w żałobie wewnątrz wychodzili sąsiedzi i znajomi. Uścisnął rękę jego ojcu, zapalili i milczeli. Przy otwartej trumnie, w zaciemnionym pokoju, czuwały matka i siostra. Modliły się. Obok głowy nieboszczyka paliły się dwie gromnice, z lewej i z prawej. Zostawiły go samego z nim. Podszedł i położył dłoń na splecionych rękach przy piersi, po czym patrzył się na niego i wsunął w kieszeń paczkę papierosów na ostatnią drogę. Kiedy wychodził to przekazano mu pu-

dełko, podpisane jego imieniem. Zawierało drobne i pamiątkowe przedmioty: fotografie, wiersze, nagrania, jakieś wycinki z ich przeszłości. Dwa dni później odbył się pogrzeb i niósł przez wieś, na przedzie, trumnę wspartą o ramię, pomógł opuścić ją na linach do grobu i sypnął garść ziemi. Na stybie z początku było smutno i jak to zwykle podczas konsolacji bywa, z czasem ludzie zaczynają żartować – im bardziej nasiąkają wódką. Poniekąd rytuał odpędzający śmierć od żywych. Woda życia paliła i płonęła mu w gardle, jakby jej żałowano, ale nic to już nie znaczyło, jako że nadchodził kres żałoby, skoro była tam kobieta o której zamysł przysłał jemu wspomnienie druha, zupełnie jak w tej popularnej pieśni kozackiej, gdzie śmiertelnie raniony jeździec śpiewa odległej żonie, żeby jego towarzysza wzięła sobie za męża.

# Kloto

Nazajutrz banalne komentarze zdążyły się już ulotnić, ponieważ, po śmierci człowieka, wszystko co on czynił za życia, co myślał, co czuł i jakie miał postanowienia – nieważne się staje tak, jak w gęstym lesie dojrzałe drzewo pada pod własnym ciężarem i daje miejsce młodym pędom. Lat ileś będzie budził wspomnienia u najbliższych, lecz za kolejnego pokolenia będzie miał wieńce, tylko z ostu i łopianu. Wiosną darowane zapomnianemu grobowi.

Z brzaskiem rodzi się ciepły dzień, kiedy razem w łóżku spoczywają i w przytuleniu się dotykają. Nienawistnie patrzą w zegar, co wskazuje moment nadchodzącej rozłąki. Przez dzień będzie słał jej wiadomości, że wypił tyle kaw i wypalił tyle papierosów, że wędchem chciałby ją obrazować i daje upust swojej ekspresji którą, by z nią dzielił, dalszą obecnością *męczył* i spać nie pozwalał. Spoglądał w nią, na oczy głęboko osadzone i okrągłe, i nos prosty, łagodnie zarysowany, dziewczęcy. No i na brodę którą pragnie ugryźć, jak tabliczkę czekolady, gdy drobne usta rysu-

ją szeroki uśmiech – szczerzy, radosny. Że to wejrzenie nieśmiałe, jak każe jej grać, dla siebie, na gitarze, to co ucieka w dół, na nogi, w dłonie – te szarpiące wstydliwie... Uwieczniłby ją zatrzymując czas, pchnął w stasis i trwał w niej po wieki, tak karmiąc wzrok. Gdzie to siwe niebo i jego twarz, od jej włosów jasnych promienieją! Dookoła wszystko połyskuje bowiem w myślach zaplata je wokół palca, gdy dłońmi czesze, w trakcie zbierania bukietu polnych róż. Wręczy jej maki, dzwonki i stokrotki, zawiązane piołunem, gdy wróci i roześmianą porwie do siebie. Nienasycony.

Lepszego podarku gwałtownie zmarły przyjaciel nie mógł ofiarować. Gdyby ich życia wyglądały inaczej, dziś byłiby całkowicie innymi ludźmi i nie pojawiłoby się to uczucie! Rozważa swoją minioną egzystencję i akceptuje wszystkie szczęścia i niedole, gdyby mógł to raz jeszcze żyłby tak samo – ciągle i na nowo, po wsze czasy powtarzał siebie tak, jak Dagda wygrywa melodię na swej harfie, co pory roku ustawia we właściwym porządku. Nie patrzyłby na jej twarz, jakże piękną i nie kontemplowałby, że imię Martyna nie pasuje do jej pogodnego oblicza, oprócz chwil, tych w zmartwieniu, w jakich przyobleka się w

marsową minę. Niegdyś myślał, że już z nikim nie będzie wspólnie wachał bzu i owoców zbierał w ogrodzie. A teraz życie rwie się w nim samo bowiem zafascynowany czerpie ze źródła Erosa i wszystko inne już nic nie znaczy. Jego serce było dotąd żelazne, toteż skorodowało pod wpływem czasu i nie wytrzymało od przykro następujących po sobie zdarzeń, niepowodzeń odczarowujących życie. Niechybnie pęknąć musiało! Szczęśliwie przekuł je w nowy stop, za sprawą uderzeń młota miłości. Odtąd emanuje podnoszącą się z rosy trawą, pąkami kwiatów lgnącymi do Słońca i owadami drążącymi ziemię, zapylającymi drzewa, by te kwitły słodkimi owocami! Sączy się spokojnymi prądem strumienia, rzeźwiącym młode sarny i cieknie zacienioną drzewami kałużą, w jakiej dzieciół skrzydłami trzepocze i łyka wodę. Pachnie ciepłym powiewem, jaki szumi w koronach drzew i szykuje się na przylot spóźnionego bociana co odgoni kruki i wrony.